

Cisza na granicy

20. dzień inwazji na Ukrainie. 5 rano. Auto marki Opel Vivaro wypakowane po brzegi pudełkami podpisanymi zawartością z namalowanymi niebiesko-żółtymi pasami. „Pampersy”. „Pasta do mycia zębów”. „Bandaż”. Wyjeżdżamy z Woźnik pod samą granicę spodziewając się zobaczyć najgorsze oblicze wojny.

Lecz tam nie ma nic, czego byśmy się spodziewali.

Nasza szkoła, I Liceum Ogólnokształcące im. Marcina Wadowity w Wadowicach bardzo aktywnie zaangażowała się w pomoc uchodźcom z okupowanej Ukrainy. Wiadomość o wojnie spłynęła nagle, zastała nas zupełnie zdziwionych, zatopionych w codziennej rutynie rzeczywistości. Nikt się nie spodziewał powagi sytuacji, a już na pewno nie jej katastrofalnych skutków. Dlatego wszyscy jak jeden mąż natychmiastowo rzucili się do pomocy – oddawali stare ubrania, zbierali środki higieny oraz środki opatrunkowe, przyjmowali Ukraińców pod swój dach. Utworzona została grupa *Wadowita dla Ukrainy*, na której na bieżąco nauczyciele i uczniowie informowani są o najpilniejszych potrzebach związanych z tragiczną sytuacją Ukraińców zarówno w naszym kraju, jak i tych dzielnie walczących na swój naród. Opiekunka wolontariatu pani Barbara Boguń z wielkim oddaniem czuwa nad sytuacją, to właśnie do niej zgłosiłam się z propozycją: mam dziewięćosobowy samochód, mój ojczym ma dużo czasu, bardzo chętnie pomożemy. Dostaliśmy numer do Pani Barbary Cudo, która zarządza transportami żywności i innych produktów znajdujących się na Karmelu. 14 marca Jarek, partner mojej mamy, otrzymał telefon – potrzebny jest na jutro kierowca z transportem na granicę. Jeszcze do końca do nas ta wiadomość nie dotarła, on już jechał do Wadowic zapakować transport. Z pomocą księży wyładował Vivaro dziesiątkami pudełek, umówił się, gdzie dokładnie i z kim mamy się kontaktować. Plan był taki: zawozimy transport do Krowicy Samej, tam spotykamy się z tamtejszym księdzem, zabieramy 6 Ukraińców do Wadowic i wracamy.

Czy miałam jakieś makabryczne wizje dotyczące tego, co zastaniemy na miejscu? Oczywiście, że tak. Bałam się spotkać tam poturbowanych ludzi, płaczące dzieci, mnóstwo strażników na granicy i w pełni uzbrojonych wojskowych. Spodziewałam się kilkugodzinnego korku, mnóstwa aut na autostradzie. Czy to trochę dziecinne wyobrażenie? Zapewne tak, ale kto z nas, żyjących w czasach pokoju, mógłby mieć realne wyobrażenie o wojnie? Boimy się. Nie można nas za to winić.

Sama droga upłynęła nam bardzo spokojnie. Na autostradzie nie było prawie żadnych aut, czasem dało się zauważyć pojazdy wojskowe lub autokary wyładowany dziećmi i kobietami. Jarek prowadził, moja mama zarządzała nawigacją, ja z tyłu spoglądałam z niecierpliwością na horyzont. Wyczuwałam panujące napięcie, niepewność związaną z tym, co zastaniemy na miejscu. Naszym celem była, jak już wspominałam, Krowica Sama. Ksiądz wyjaśnił nam później, że nazwa nawiązuje do najazdu Tatarów z XVII wieku, kiedy to krew sama spływać miała do przecinającej wioskę rzeki. Kiedy już się do niej zbliżaliśmy, zaskoczyła nas przede wszystkim jedna rzecz: normalność. Ludzie

wykonywali pracę w ogrodach, na poboczu kładziono chodnik, na ulicach panował poranny spokój. Spokój? Kilka kilometrów od kraju, gdzie toczy się ludobójcza wojna? Rzeczywiście, gdy znaleźliśmy się już pod punktem dla uchodźców, czyli szkołą podstawową w Krowicy Samej, nic nie zapowiadało, że to właśnie to miejsce. Dopiero gdy skręciliśmy w drogę dojazdową, zobaczyliśmy grupę ludzi w mundurach, która kierowała samochody z dostawą albo do sali gimnastycznej, albo do Ośrodka Kultury, który znajdował się w budynku obok. Strażacy i policjanci wskazali nam drogę, a my zaparkowaliśmy przy tylnym wejściu do szkoły. Zgłosiliśmy, skąd przyjechaliśmy i zaczęliśmy wypakowywać przygotowane pudła. Cały korytarz szkoły zastawiony był po sufit kartonami z sokami, wodami i musami dla dzieci. Osobne pomieszczenie przeznaczono na produkty higieniczne oraz te do pierwszej pomocy. Chleb zanieśliśmy do prowizorycznej kuchni. Jedna z policjantek skontaktowała się z księdzem, z którym mieliśmy się spotkać, a nas zaproszono na kawę lub herbatę. Weszliśmy do dużej sali, która pełniła funkcję jadalni. Parę osób siedziało w ciszy przy stołach, kilka dzieci chodziło tam i z powrotem po korytarzu. Jakaś dziewczyna weszła do niewielkiej klitki, w której przechowywano worki z ubraniami. W tym czasie mama rozmawiała z policjantem z Leżajska, który dzień wcześniej został wysłany do tej jednostki. *„Różni ludzie tu trafiają. Niektóre kobiety pierwsze co, to rozglądają się za tuszem do rżęs. Ha, a znowu wczoraj była to taka dziewczyna, która pokazywała nam zdjęcia z ulic, i tam normalnie leżały pourywane ręce, nogi, ludzie spaleni...”*. Ten sam policjant później wziął na kolana ukraińskiego chłopczyka i pokazywał mu na telefonie różne zwierzątka. Jeszcze inna funkcjonariuszka opowiadała o wybuchu bomby, która eksplodowała 10 kilometrów od granicy. Wszyscy mieszkańcy Krowicy ją słyszeli. *„To było jakby ktoś nam rzucił piłką lekarską w drzwi. Myślałam jednak, że to moja córka w pokoju obok i poszłam spać dalej”*.

Pod ścianą stał stół z wrzątkiem, wodą, herbatą i kawą, na oknie leżał chleb, smalec, a na stole orzechy do jedzenia. Ciastka i słodczyce pochowane były w innych pomieszczeniach. Piłam zbyt mocną herbatę i przyglądałam się mijającym ludziom. Zdecydowaną większość stanowiły polskie służby ochotnicze i wolontariusze. Zresztą sami przyznali, że najwięcej Ukraińców zjawiało się tam na noc. W sali gimnastycznej mieściło się ok. 40 osób, łącznie z ośrodkiem kultury było ich prawie dwieście, jednak codziennie się zjawiali, jedni odjeżdżali w głąb Polski, inni dopiero docierali na granicę. W końcu zjawił się ksiądz. Mieliśmy poczekać u niego, aż dyrektorka szkoły zbierze grupę Ukraińców, która z nami wróci do Wadowic. Wsiedliśmy do vivara i pojechaliśmy za nim na plebanię. Odjeżdżając, omijaliśmy policjantów, którzy grali w piłkę z młodym chłopakiem. Posłali nam zgaszone uśmiechy.

Na plebani panował spokój. Ksiądz ugościł nas kawą i własnoręcznie robionymi pączkami i rurkami z kremem. Zamykając oczy, można było poczuć się jak w kawiarni. Tymczasem tematy przy stole nie były „kawiarniane”. Naszemu gospodarzowi towarzyszył jednak całkiem inny nastrój niż nam. *„Wojny nie będzie”* – powiedział. *„U was ludzie się boją, bo oglądają za dużo telewizji. Tutaj ludzie się modlą i wierzą. Tutaj wojny nie będzie.”* Zdaniem księdza ten konflikt to dopiero

wstęp do czegoś poważniejszego, on szybko się zakończy, ale rozpocznie efekt domina. Jego teorie dotyczyły przede wszystkim wojny na Zachodzie, wybuchów wulkanów i komety, która ma spaść w okolicach Hiszpanii. Rosji jednak nie bał się ani trochę.

Po posiłku ksiądz chciał oprowadzić nas po kościele. Wyszliśmy na zewnątrz i czekaliśmy na Jarka, który korzystał z łazienki. I wtedy mnie to uderzyła: cisza. Cisza, której nie słyszałam już wiele lat. Nie było słycać żadnych aut, klaksonów, maszyn rolniczych ani krzyków ludzi. Tylko śpiew ptaków i lekki wiatr. Przypominało to beztroskę dzieciństwa, nadzieję, którą w ludzi wlewa tylko wiosna. Parę kilometrów od kraju, gdzie ludzie są mordowani na rozkaz tyrana.

W końcu ksiądz zaczął wydzwaniać do dyrektorki, gdyż od naszego przyjazdu minęły już trzy godziny. Co się okazało - nie było nikogo chętnego na powrót z nami. Ludzie czekali przede wszystkim na transport do Warszawy, Pragi i Berlina. Zdecydowana większość liczyła też, że uda im się wkrótce wrócić do kraju.

Pożegnaliśmy się z księdzem i wsiedliśmy do auta. Zdezorientowani? Przygaszeni? Chcieliśmy przecież uratować ludzi, pomóc im zaznać spokoju w naszym kraju, a tymczasem wracamy z pustym autem i słojami miodu od naszego gospodarza. Jarek zadzwonił jeszcze do Pana Marka Sławika, który organizuje transporty z Karmelu, żeby spytać go, czy nie ma gdzieś innych znanych mu jednostek, z których moglibyśmy kogoś zabrać. Nie spotkaliśmy już jednak nikogo, kto mógłby z nami wracać.

Wróciliśmy do Wadowic, a w moje uszy znów trafił szum radiowych odbiorników, które krzyczały o wojnie...

Aleksandra Dębska, I LO im. Marcina Wadowity w Wadowicach (opiekun: Henryk Odrozek)